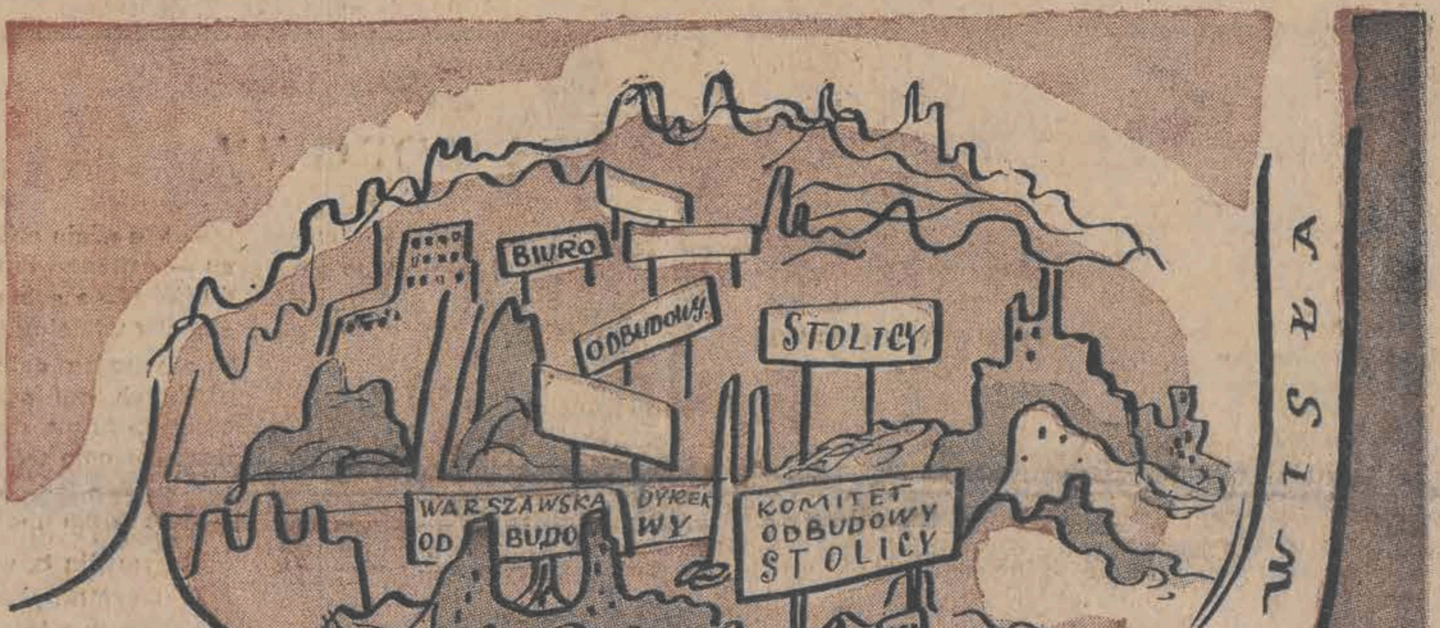
Cena numeru 12 zł

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II — 27 kwietnia 1947 r. — Nr. 18 (38)

MIN. KACZOROWSKI SKRYTYKOWAŁ W SEJMIE DOTYCHCZASOWĄ DZIAŁALNOŚĆ LICZNYCH INSTYTUCJI ODBUDOWY STOLICY



Rys. REGINA KAŃSKA

„KACZKI ZA WODĄ..."

LUDWIK JERZY KERN

DO NIEJEDNEJ

Ja chciałbym wiedzieć o! pani,
z widzenia tylko mi znana,
za jakie pieniądze właściwie
jest pani tak pięknie ubrana?

Codziennie masz inny kapelusz,
codziennie masz inne kiecki —
I wiszą na tobie brylanty
tak, jak na krzaku porzeczki.

Wczoraj wieczorem tak śliczna
byłaś w tej srebrnej etoli,
że patrzeć na ciebie nie mogłem
i czułem, że serce mnie boli.

Czułem, że boli mnie serce,
czułem, że bolą mnie oczy.
Od czego? Od tego przepychu,
który się wkoło roztoczył.

Nie jestem z Komisji Specjalnej,
z prokuratury, ni z U. B.
ale pomyśleć czasami,
podumać czasami, lubię.

I myślę sobie i myślę
I dumam i dumam: ach, za co?
Chyba nie doszłaś pani
do tego własną swą pracą?

Mąż też ci chyba nie kupił,
bo wiedzą wszyscy na mieście,
że mąż twój zarabia brutto
na miesiąc równe sześć dwieście.

I myślę, i myślę, i nie wiem,
i diabeł to chyba odgadnie:
czy pani się puszcza po cichu,
czy też po cichu mąż kradnie?

Różne nasze dzienne sprawy

Europę nawiedziła klęska powodzi, Amerykę — (tam zawsze wszystko inaczej) — klęska ognia. Port Texas znalazł się w morzu płomieni. Wyleciało w powietrze kilkanaście frachtowców, zwaliły się w gruzy budynki Texas City, zwęgliło się około 30 proc mieszkańców...

Potworna katastrofa? Zapewne. Potworniejsza jest atoli przyczyna katastrofy: oto, jak wykazało pierwiastkowe śledztwo, Texas zatlił się od wybuchu fabryki, „Monsanto Chemical Company", a fabryka „Monsanto Chemical Company" — została podpalona.

Ongi, gdy Herostrates podkładał ogień pod świetynię Diany w Efezie — „przyświecała" mu chęć zdobycia sławy. Podpalacze z Texas są oświeconymi przemysłowcami: podpalając fabrykę (a z nią i miasto) liczyli na miliardową niemal premię asekuracyjną.

Tak, „to jest Ameryka; to jest kraj USA.."

* * *

Jest podobieństwo między robotą fabrykantów „Monsanto" a działalnością niektórych mężów stanu Stanów. Tych mianowicie, którzy za wszelką cenę chcą asekurować wpływy karteli, trustów i banków amerykańskich.

Tutaj nie chodzi o pożar jednego miasta, ale o podpalenie całych krajów.

Na podpałkę używa się milionów dolarów w formie t. zw. pożyczki. Pożyczka taka np. znakomicie zaogni wojnę domową w Grecji.

Nie wszystkim w USA — trzeba to przyznać — podoba się Trumański proceder dolewania oliwy do ognia.

— Nie wielu członków Kongresu — ostrzega Fiorello La Guardia — zdaje sobie sprawę z następstw udzielania pomocy, która nie ma na celu nakarmienia głodnych ani odbudowy zniszczonego kraju, ale ma być wydana na cele wojskowe...

Jeden Fiorello (kwiatek), jeszcze nie czyni, ale za La Guardią stoi gwardia b. współpracowników i sympatyków Roosevelta. Gwardia ta zdaje sobie sprawę również i z tego, że na przyszły rok odbędą się w Ameryce wybory nowego prezydenta...

***

Do wyborów nowego prezydenta jest bądź co bądź jeszcze kawałek czasu, a już pewien niepokój wtargnął do Białego Domu.

Do bardzo ważnych kłopotów o sukcesy Czang Kai-Szeka czy Maximosa doszedł jeszcze jeden: ten o sprawy wewnętrzne USA.

W swoim ostatnim przemówieniu prez. Truman nie był w stanie pocieszyć inaczej Stanów Zjednoczonych, niż przez pochwałę dotychczasowego amerykańskiego systemu ekonomicznego.

Nie bardzo to chyba wyborny system, skoro nawet w USA przynosi wojnę między kapitałem a robotnikami.

B. ANGIELSKI AMBASADOR W POLSCE P. CAVENDISCH-BENTINCK, SPRAWIA WIELE KŁOPOTÓW FOREJGN-OFFICE



Rys. Tadeusz Ulatowski

Amba-ra-sador

ACHILLE CAMPANILLE

Ilustr. KAROL BARANIECKI

Niełukąca się szklanka

Moja żona i ja jesteśmy bardzo oszczędni. Bynajmniej nie skąpi, ale nie lubimy niczego marnować. Natomiast Marcelek zupełnie nie jest do nas podobny. Gdy ma szklankę w ręku nikt by nie powiedział, że to nasz syn. Bierze poprostu i rzuca na ziemię bez najmniejszego wahania. Trudno wprost powiedzieć, ile nas to kosztuje. Zapewne poprawi się kiedyś, ale w tej chwili (ma trzy lata) zdaje mu się, że szklanki przeznaczone są jedynie do rozbijania. Próbowaliśmy dać mu srebrny kubek, ale nie chciał nic o tym



słyszeć. Poprostu, gdy nie ma szklanki, takiej jak nasza, nie chce pić a przecież nie możemy, dla jego przyjemności, pozwolić sobie na taki zbytek jak srebrne kubki dla całej rodziny.

Rozbił w ten sposób komplety serwis i moja żona kupiła właśnie nowy na dwanaście osób. Wówczas to przyszła mi genialna myśl do głowy: postanowiłem kupić Marcelkowi niełukącą się szklankę. Po długich poszukiwaniach udało mi się nabyć jedną. Powróciwszy do domu, nic nikomu nie mówiąc, a następnie przeprowadziłem wobec rodziny bardzo udaną próbę.

Spostrzegłem przytym, że to pierwsze doświadczenie ściągnęło na mnie sporo wyrzutów. Moja żona twierdziła, że chce poniżyć wartość jej nowego serwisu. Marcelek uznał próbę jako bradzo zabawną. Chwycił pierwszą lepszą szklankę i nim zdołaliśmy mu przeszkodzić, cisnął ją o podłogę. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia, że szklanka rozprysła się na drobne kawałki: poprostu było o jedną mniej.

Wszystko jednak rozwijało się pomyślnie aż do następnego dnia. Gdy nadeszła pora obiadowa, zbliżyła się do mnie służąca.

— Będę nakrywała do stołu — powiedziała — może mi pan zechce powiedzieć gdzie jest ta, niełukąca się, szklanka.

Ta niedołęga postawiła ją w bufecie między inne szklanki! Ponieważ zaś wszystkie szklanki są takie same, możecie sobie wyobrazić, jaki mieliśmy kłopot z wyszukaniem tej, którą przeznaczyłem dla Marcelka.

— Głupie cielę — zawołałem — pomieszałaś szklanki, a teraz chcesz abym ci odszukał niełukącą się.

W międzyczasie nadeszła moja żona. Na szczęście nie jest to osoba nerwowa. Dlatego zresztą wybrałem ją na moją dozgonną towarzyszkę po długich, bezskutecznych poszukiwaniach między wieloma pannami.

— Nie ma co — oświadczyłem — próbujmy znaleźć tę nieszczęsną szklankę.

Zaczęliśmy uważnie przeglądać nowy serwis. Niestety, nie mogliśmy znaleźć najmniejszej różnicy: wszystkie szklanki były identyczne.

Nagle moja żona zawołała:

— Zdaje mi się, że to ta!

— Co? — powiedziałem — ja sądzę, że raczej ta.

Może ta, a może ta, a może inna... Wreszcie przekonana, że trzyma niełukącą się szklankę, moja żona rzuca ją na ziemię. Z radością widzę, że szklanka rozbiła się. Ja miałem rację.

— Ale to również nie ta, którą ty wybrałeś! — zawołała żona, zaczynając się już gniewać.

— Co? nie ta? Zobaczymy!

Moja żona wydała okrzyk triumfu, widząc, że szklanka rozleciała się na tysiąc kawałków.

— A to dobre — zawołałem, uśmiechając się ironicznie — w każdym razie pokazuje się, że i ty też miałaś słuszność.

— Coś mi się tak wydaje — odpowiedziała z zakłopotaniem żona.

Obecność niełukącej się szklanki, wśród tylu innych zaczynała nas denerwować. Którą dać Marcelkowi? Można było trafić na właściwą, ale w razie pomyłki, wynikłaby szkoda.

Zastanawialiśmy się właśnie, co robić, gdy z sąsiedniego pokoju rozległ się krzyk. Służąca przeprowadziła również, na własną rękę, nieudaną próbę. Wobec tego we czwórkę, zbiliśmy już cztery szklanki. Jakkolwiek nie bardzo się to nam podobało, miało jednak tę dobrą stronę, że znacznie zmniejszyło pole naszych poszukiwań. Obecnie niełukąca się szklanka znajdowała się pomiędzy ośmiu pozostałymi, co oznaczało, że mieliśmy już tylko siedem szans na osiem na zbicie dalszej szklanki. Szklanki te wkrótce zredukowały się do sześciu, gdy zachęcony tym rozumowaniem, przeprowadziłem nową próbę i zbiłem piątą szklankę. Nastąpiły dwie nowe próby, ze strony mojej żony i służącej, z podobnym wynikiem.

Wówczas wpadliśmy w szał. Poszukiwanie rozwijało się błyskawicznie. Braliśmy szklanki na chybił trafił i wołając — „to ta, to ta" — rzucaliśmy je na wyścigi o podłogę.

Gdy pozostały już tylko dwie, zainterweniowałem:

— Teraz — powiedziałem — musimy upuścić jedną z nich: jeżeli pozostanie cała, będzie to dowód, iż jest to niełukąca się, jeżeli rozbije się, widocznie niełukącą się jest druga!



Powiedziane, zrobione. Niełukącą się była właśnie ta druga! Nareszcie znaleźliśmy.

— Co do mnie — powiedziałem ocierając zimny pot z czoła — nie jestem całkiem pewny.

— Przecież mamy dowód — zauważyła żona.

Podniosłem szklankę, gotów do upuszczenia jej, lecz jakieś przeczucie mnie powstrzymało.

— Nie wiadomo. Jeżeli to nie ta, zbije się napewno.

Niełukącą się szklankę zamknęliśmy ostrożnie w bufecie. Od tego czasu nikomu nie wolno jej ruszać!

Tłum. Benedykt Brykczyński

Z FRONTU WALKI ZE SZKODNIKAMI



Rys. Stanisław Cieloch

ODSZCZURZANIE

STANISŁAW DYGAT

Tragiczna ballada pamyłek o poecie Kosmowskim ze stosunkowo długą przedmową i trochę niejasnym morałem.

Jak powstaje poemat? Budzi się w poecie pomysł, odkrycie, niezwykła myśl, która jest najzupełniej swoją i odludną i to przez moment daje poczucie błogiej wyższości nad światem, poczucie własnej odrębności, aż do zawrotnego podejrzania siebie samego o posłannictwo. Cała rzecz w tym, że ludzie na takiego konika wskakują i już potym do końca życia nie chcą z niego zsiąść.

Czyż trzeba tłumaczyć, że człowiek spędzający całe życie na koniu jest postacią śmieszną? To już nie człowiek a centaur. Tym rozbrykanym centaurom nie przychodzi myśl do głowy, iż w stosunku do swoich odkryć są podobni rodzicom, którzy z poczuciem całkowitej wyłączności i niezwykłości faktu, pokazują jak ich dziecko robi „pa", ,,hop" i podskakuje gdy krzykną „hop"; co robią w pewnym wieku wszystkie dzieci na świecie. Tak więc niektórzy poeci ze zwykłych „pa" ,,hop" i szurgań nóżką wysnuwają zawrotne o sobie mniemanie i co gorsza tkliwość dla swego ducha przenoszą na ciało i sytuacje tego ciała w dniu potocznym, życiu publicznym i hierarchji społecznej oraz towarzyskiej. Powoli, co jest biblijnie tradycyjnym tragizmem losu ludzkiego, ciało niweczy ducha i odsyła je na ciężkie roboty, gdzie w znoju i trudzie musi pracować dla chwały blasku i korzyści ciała. Ten bankiersko-kapitalistyczny i społecznie przestarzały stosunek wyzysku ciała wobec ducha zwie się powszechnie ambicją i ceni się bardzo tę ambicję u poetów powiadając: „No; można mu to i tamto zarzucić ale ambitny to on jest, trzeba to w nim uznać i uszanować". Ta ambicja wetknięta jest w ich ciała jak kawał rozpalonego żelaza i przypieka je tak, że żal bierze patrzeć jak skręcają się i wiją od palącego żaru. Zdarza się im popaść w rozpacz absolutną i w nieruchomym otępieniu, ze łzą w oku przez parę dni, zaciskając pięści (aż sinieją) i pojękując a to wszystko z tej przyczyny, że ich poemat został wydrukowany nie w tym numerze, a w następnym, że nie otrzymali nagrody państwowej, wojewódzkiej lub miejskiej, że pominięto gdzieś ich nazwisko lub nie zamieszczono fotografii. Fotografować lubią się nade wszystko i potem długo, długo wpatrują się na stronach czasopism w odbicia swoich twarzy, których rysy układali przed obiektywem starannie i ze szczególnym nabożeństwem, kryjąc w nich zamyślenie mądre i posępne nad własną duszą i ogromem mistycznych przeżyć twórczych, wzrok nieco zamglony, ale świadomy wyższych celów topią w horyzoncie wszechrzeczy, nieco ponad głowami przechodniów. Długo, długo wpatrują się w swoje fotografie w czasopismach (mniej szczęśliwi muszą zadawalać się lustrem) i wyczytują z nich jaknajpochlebniejsze opinie o sobie, ale nie dostrzegają błazeństwa, które wbrew ich woli i świadomości wywija koziołki wśród rysów twarzy tak bardzo wzniosłych.

Poeta Kosmowski siedział przy biurku rozmyślając ze wzruszeniem o sobie gdy nagle zadzwonił telefon.

— Sługa mistrza! Tu wydawca X. Przeczytałem pański poemat i brak mi słów zachwytu. Chciałbym z panem pomówić o wydaniu tego poematu.

Poeta Kosmowski wyprostował się z godnością.

— Możemy pomówić, ale wie pan chyba, że jestem bardzo zajęty.

— Dojdziemy do porozumienia. Czy mógłby pan spotkać się ze mną o 5-tej w „Cafe Margot"?... Aha i niech pan przyniesie ten numer, ;,Tygodnia poezji"; w którym jest wydrukowany pański poemat.

—...„Tygodnia "? Ależ to nie było w „Tygodniu"; tylko w ;;Przeglądzie poetyckim".

— Napewno w „Tygodniu".

— Ależ napewno w „Przeglądzie!

— To jakieś nieporozumienie...

— Przecież mówię z „Domem Literatów"?

— Tak.

— Mistrz Ziemski przy telefonie!? Czy nie?

Poeta Kosmowski szybko rzucił telefon, jakgdyby gada trzymał w ręku. Przed paroma dniami zamienił się z poetą Ziemskim na mieszkania. W mieszkaniu poety Ziemskiego było w szafie w ścianie lustro, a w jego nie. Póty chodził do zarządu, protestował, powoływał się na konieczność szanowania hierarchii i groził, że rzuci pisanie, skoro faworyzuje się gorszych od niego, że wszyscy znużeni, namówili poetę Ziemskiego na zamianę...

— Co to jest? — zawołała żona poety Kosmowskiego wchodząc do pokoju — potłuczone wazony, połamane krzesła... Ach, zbite lustro w szafie w ścianie! Co tu się stało!?...

— A, to, tego... okno... przeciąg... i tak jakoś...

— Ejże — powiedziała nieufnie żona — już ja cię znam.

Ale to nieprawda. Gdyby go naprawdę znała, już dawno uciekłaby na drugi koniec świata.

LEON PASTERNAK

BRZECHWIE— NIECH WIE!

(Pamflecik)

Siedzi sobie Brzechwa, Szerszeń,
sam już nie wiem jak mu tam...
I wymyśla śliczne wiersze,
rata — rata, rata — tam...

Kaczka, krówka, mrówka, indyk,
śledź i baran, słoń i pchła,
radca prawny, prezes, syndyk,
rata — tata, rata — ta...

Jeden wierszyk — jedna książka,
stopiętnaście książek w rok,
„książka" rym jest do „pieniążka",
rata — tata, rata — tok...

Siedzi Brzechwa i rymuje:
„eci - peci", „fik i mik",
rytm się zgadza, rym pasuje,
rata — tata, rata — tik...

O stonodze, o niebodze,
z przysłów ma pomysłów rój,
procent w mig się pcha w Zaiksie,
rata — tata, rata — tuj...

Pisze wszystko i dla wszystkich,
bez różnicy wieku, płci,
każdy temat jest mu bliski,
rata — tata, rata, — ti...

Dla kawałów, dla kawałków,
na poważnie i na śmiech,
(również hymny dla marszałków!)
rata — tata, he — he — he...

Tańcowała nitka z igłą
i tańcował z rybą rak,
bardzo nam to wszystko zbrzydło,
rata — tata — tak — tak — tak!

W ZWIĄZKU Z POŻYCZKĄ AMERYKAŃSKĄ DLA GRECJI



Rys. Karol Baraniecki

ZEUŚ NA OLIMPIE



UWODZICIEL

Przyjęło się ogólnie twierdzenie jakoby kobiety były „łatwe" i „rzucały" się obecnie na mężczyzn, a jednak w najlepszym towarzystwie widzimy młodzieńców, na których kolanach zauważymy zaledwie dwie lub jedną damę, a na kolanach i głowie innych po trzy lub cztery sztuki naraz. Na czym to polega? I dlaczego nieraz młodzieniec podrzędniejszych walorów zewnętrznych ma u kobiet o wiele większe powodzenie, niż młodzian, który wspaniale wystrzelił w górę i jest piękny jak młody bób (bób gatunek fasoli).

Rozróżniamy trzy gatunki uwodzicieli: uwodziciel we własnym mniemaniu, uwodziciel fachowy i uwodziciel mimowoli.

Pierwszy typ, rekrutujący się zwykle z młodych aktorów filmowych lub scenicznych, kocha tylko siebie, a w towarzystwie „pijąc zdrowie pań po raz pierwszy" (jak to pijący zwykli mówić) zwraca instyktownie kieliszek najpierw w swoją stronę. Damy, które powinny się w nim zakochać, bawi rozmową o sobie, o swoich powodzeniach u kobiet lub na scenie, o sukcesach w prasie itp. Ale kobietki są cwane, wiedzą doskonale, że taki zakochany w sobie będzie w miłości też tylko myślał o własnej przyjemności i skromnie odwracają od niego swoje biuściki. Powodzenie tenże miewa tylko u niedoświadczonych pensjonarek i ich babek. Piękne wyderki, te, które uprawiają z zapałem wspinaczkę kolejką na Gubałówkę, w Zakopanem i które w tym sezonie kompletnie zbaraniały (jeśli chodzi o gatunek futer, które noszą) nie polecą na takiego!

Fachowy uwodziciel jest zwykle trochę starszym młodzieńcem, który ma na opalonej twarzy kilka bruzd, a na ciemnej czuprynie jedno srebrne skrzydełko z siwiejących włosów. Fachowy uwodziciel, jeśli jest naprawdę mądry, zachowuje się w pierwszej fazie uwodzenia, jak ksiądz w konfesjonale wobec pięknej, młodej penitentki. Sam nic nie mówi, tylko z całym zainteresowaniem i skupieniem wysłuchuje tego, co mówi kobieta o sobie. Czasem spowiedź jej przerwie westchnieniem, w rodzaju: „Dziecko; jakie ty masz oczy!" i słucha dalej. Wie on doskonale, że dać się kobiecie wypowiedzieć do dna, to już prawie mieć ją w ramionach. Fachowy uwodziciel wie również, że sama miłość to zamała przyjemność zmysłowa, zaprosiwszy więc kobietę do siebie, przygotowuje wódeczkę nie „Perłową", ale zrobioną własnoręcznie na spirytusie i kanapki. Jeśli zdobycz jest damą z „najlepszego towarzystwa" to znaczy w „Perlonach"; platynowa na głowie i w lisie, to wykosztuje się na pudełko sardynek i butelkę francuskiego wina. Gdy zdobycz jest osobą koło czterdziestki, powinnien do niej mówić: „córus" — Jeżeli ma zamiar kontynuować ów flirt, w żaden sposób nie powinien po ataku miłosnym powiedzieć tak jak pewien młody bubek: „Ale te ciasteczka u cioci Urszulki były naprawdę świetne!"

Pozostało u kobiet w tradycjach, że po uwiedzeniu, chociażby to nawet ona była owym królikiem „który pierwszy zaczął", należy kobietę pocieszać, pogłaskać, całować drobnym maczkiem po uszkach i włosach.

Największym jednak powodzeniem u wyderek cieszy się zwykle uwodziciel mimowoli. Miły ten narciarz w zmyślnej wiatróweczce, studiujący przy tym prawo, przyrodę, medycynę lub filozofię, nie robi absolutnie, nic, ażeby się kobietom podobać. Głośnej pięknotce mówi pogardliwie: „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani uchodzi z ładną, jest pani zaledwie przystojna, ale nie w moim typie..." Poznawszy w towarzystwei osobę, która nie będąc pięknością, miała o sobie i o swoim wieku dobre mniemanie, powie jej komplement tego rodzaju: „Wie pani co? Pani mi się podoba, bo mnie to się podobają zwykle takie, które nie są ani ładne, ani młode, ani mądre!" Najgroźniejszy ze wszystkich uwodziciel mimowoli jest zwykle bezczelnie zgrabny, bezczelnie męski, bezczelnie pogardliwy w stosunku do kobiet, które połyka jak owoce, a serca ich wypluwa jak pestki. Dobrze jest, jeśli przesiedział się w obozach, a jeszcze lepiej jeśli bił się pod Monte Casino. Bezwarunkowo powinien mówić słabo, ale dobrym gardłowym akcentem po angielsku, wówczas mu się żadna kobieta nie oprze.

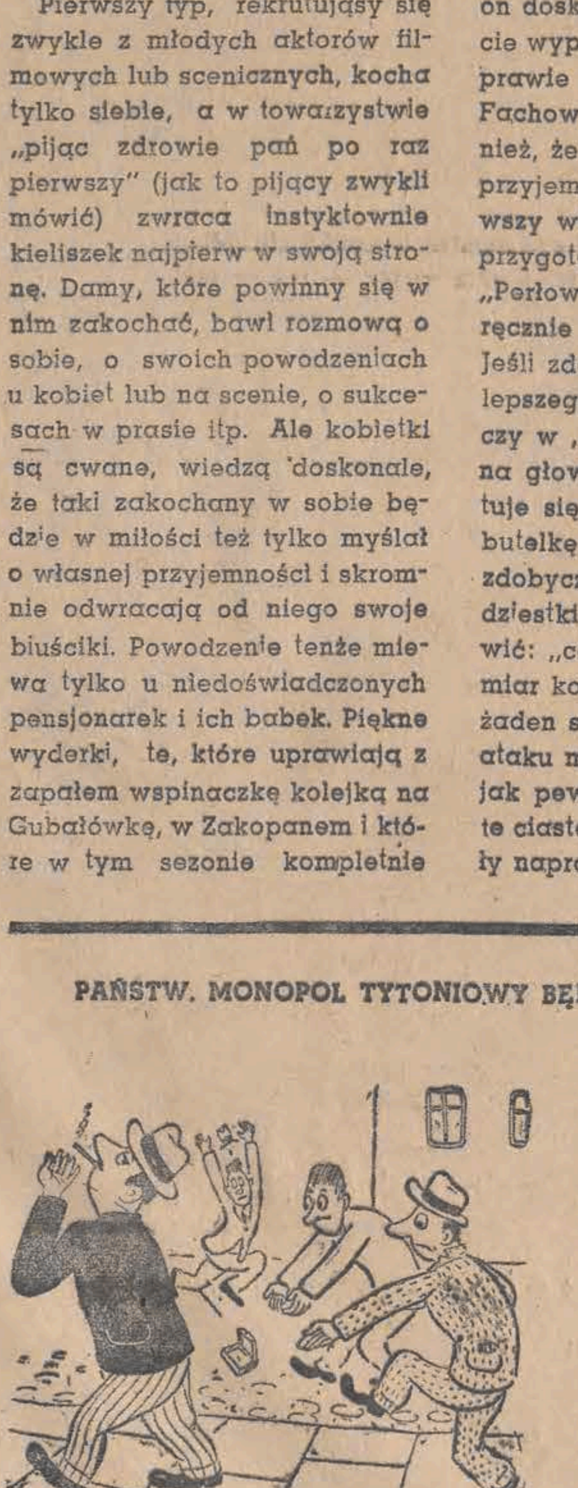
Magdalena Samozwaniec

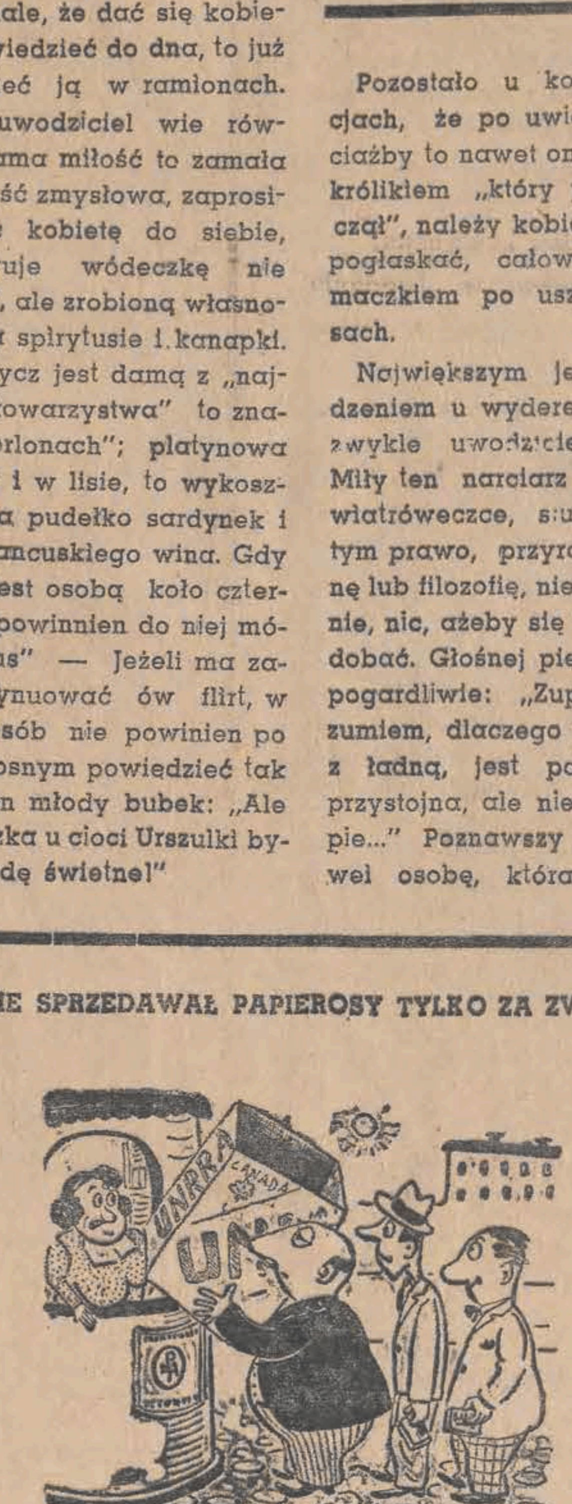
ARTUR MARIA SWINARSKI

BYŁ CZŁOWIEK

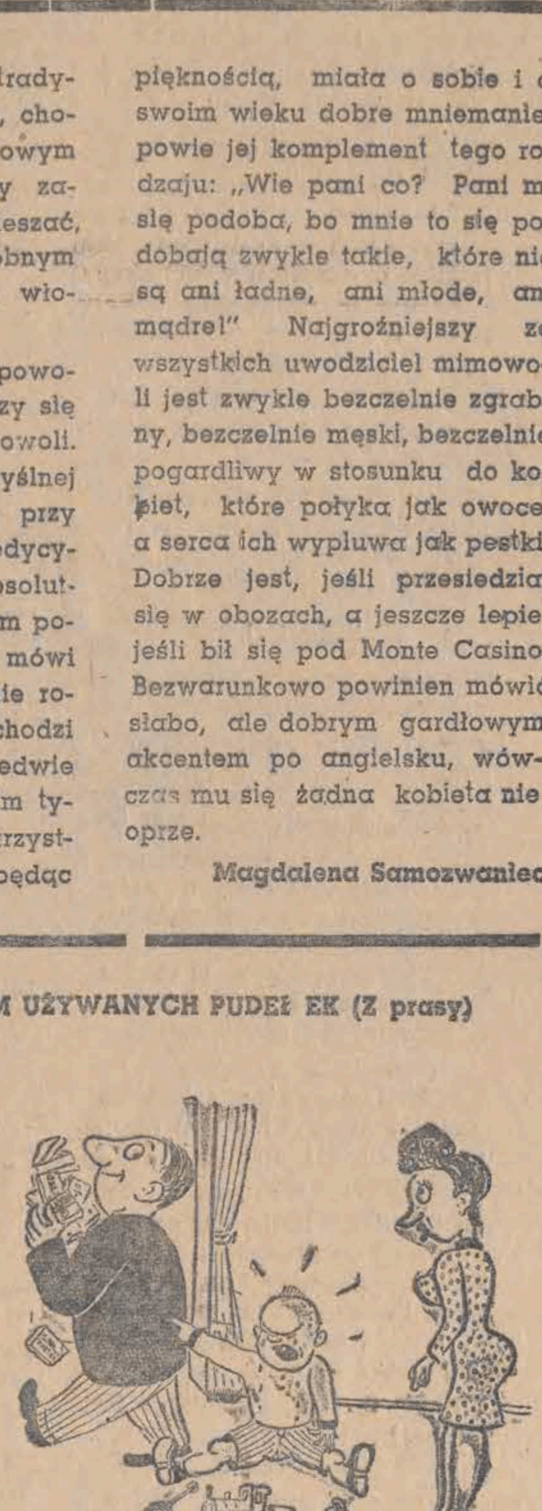
Był człowiek, przyznać trzeba, wyjątkowy,
który szanował przepisy wszelkie:
Po użyciu pociągał za rączkę,
przed użyciem potrząsał butelkę.
Nie deptał trawników. Nie zrywał kwiatów.
I na parkanach nie lepił plakatów.
Nie przewoził w przedziale przedmiotów cuchnących,
ni żrących,
ni łatwo palnych, ni nabitej broni.
„Mocno pukać!" Pukał mocno. ;„Proszę dzwonić!"
Dzwonił.
„Nie rozmawiać z motorniczym!" Nie rzekł ani słowa.
„Przechować bilet dla kontroli!" Przechował.
„Nie przechodzić przez tor!" Nie chadzał,
Nie pluć na podłogę. Psów nie wprowadzał.
Zostawiał to miejsce w takim stanie,
w jakim je zastać chciał.
Gdy ujrzał napis: „Nie wolno palić!" na ścianie,
jakże by palić śmiał!
Nie stawał w wejściu. Szedł prawą stroną.
I nie wychylał się z okna wagonu.
I wreszcie — szanował cudzy czas,
załatwił sprawę i opuścił nas...
Albowiem ta miła ozdoba świata
umarła, mając niespełna trzy lata!

PAŃSTW. MONOPOL TYTONIOWY BĘDZIE SPRZEDAWAŁ PAPIEROSY TYLKO ZA ZWROTEM UŻYWANYCH PUDEŁ EK (Z prasy)


MARNOTRAWNY



HURTOWNIK


Rys. Adam Bieńkowski

EGOISTYCZNY OJCIEC

STEFAN STEFAŃSKI

POMOC ZIMOWA

Obrazek sceniczny w swoim rodzaju

Osoby działające:
Biedak
Biedaczka
Dzieci Biedaka i Biedaczki
Prezes
Wice-Prezes
Sekretarka
Referent
Grabarz

SCENA I.

(Początek zimy. Peryferie miasta. Mała izdebka na poddaszu.)

DZIECI BIEDAKA I BIEDACZKI: Mamo, zimno!

BIEDACZKA: Poczekajcie. Niedługo ojciec wróci. Może ułamie kawał parkanu, to wam napalę.

DZIECI BIEDAKA I BIEDACZKI: Mamo, jeść!

BIEDACZKA: Poczekajcie, ojciec zaraz nadejdzie. Może przyniesie parę złotych, to wam kupię chleba.

BIEDAK: (zaraz nadchodząc) Dobry wieczór, Biedaczko. Jak się macie dzieci?

DZIECI: Ssiemy łapę z głodu i bardzo nam chłodno.

BIEDACZKA (z nadzieją w głosie): Przyniosłeś co Biedaku?

BIEDAK (z zadowleniem): Przyniosłem.

DZIECI (z zadowoleniem): Hurra, tato przyniósł!

BIEDAK: Przyniosłem wam dobrą wiadomść: zima nadchodzi!

DZIECI i BIEDACZKA (z rozczarowaniem): e, e, e, e...

BIEDAK (surowo): Tylko bez żadnych e, e, e... Zima to dobry sezon dla takich jak my. Jest to pora roku, kiedy, uważacie — całe społeczeństwo zbiera i daje nam. To się nazywa — pomoc zimowa.

BIEDACZKA: Jak myślisz, Biedaku, kiedy coś z tej pomocy zimowej otrzymamy?

BIEDAK: Niedługo, niedługo. Tylko organizacje ukończą zbiórkę. Teraz mamy początek grudnia, więc napewno już na gwiazdkę...

SCENA II.

(Początek wiosny. Śródmieście. Gabinet Prezesa.)

SEKRETARKA (wbiegając z gazetą): Czytał pan, panie prezesie?

PREZES (leniwie): A co tam takiego?

SEKRETARKA (z oburzeniem):— Jakiś bezczelny pismak zarzuca naszej organizacji filantropijnej opieszałość i zapytuje ironicznie, czy biedacy otrzymają coś z tegorocznej Pomocy Zimowej przed upływem lata?

PREZES (wyrywając sekretarce gazetę): Co takiego? Ma pani rację, że to bezczelność! Proszę wezwać do mnie wiceprezesa.

WICEPREZES (wchodząc na wezwanie): — Niepotrzebnie pan mnie wzywał, gdyż właśnie sam do pana szedłem. Przygotowałem bardzo ciekawy odczyt, który pragnę wygłosić w połowie maja.

PREZES (z zaciekawieniem): Na jaki temat?

WICEPREZES: „Dobroczyność a solidaryzm społeczny". Doszedłem do wniosku, że gdyby biedy nie było, to należałoby ją stworzyć, aby dać pole do rozwoju takim instytucjom, jak nasza. Instytucjom, ożywionym pragnieniem ocierania łez i pomocy zimowej. Gorące serca, panie prezesie, potrafią zwalczyć mróz...

SEKRETARKA (wyglądając przez okno): No, mrozu już nie trzeba zwalczać! Proszę popatrzyć, jak zielono! Wiosna!

(Wyglądają wszyscy przez okno. — Wzdychają).

PREZES (z goryczą): Piękny pan przygotował odczyt, ale kto go oceni? Pan liczy na opinię publiczną? Niech pan przeczyta (podaje mu gazetę).

WICEPREZES (przeczytawszy artykuł): To skandal! Oto mi nagroda za naszą niestrudzoną pracę w ciągu karnawału, tj. pardon — zimy...

PREZES (z dumą): Nie należy się wstydzić słowa — karnawał. Karnawał wszak to pora naszej najintensywniejszej filantropijnej pracy...

SEKRETARKA (tańcząc po pokoju): Ile nocy nieprzespanych, by zarobić na cele dobroczynne...

PREZES (z rozmarzeniem): A pewnie, pewnie... Ale, wiecie, swoją drogą, może dla uspokojenia tych nudnych pismaków możnaby przystąpić do rozdziału zbiórki Pomocy Zimowej.

WICEPREZES (wzruszając ramionami): To nie nasza sprawa. Zawołam referenta. (woła referenta).

REFERENT (w ukłonach): Panie prezesie, panie wiceprezesie, pani sekretarko!

PREZES (niedbale): Słuchajno pan, ile przyniosła tegoroczna Pomoc zimowa?

REFERENT: Jeszcze nie mogę podać w dokładnych danych. Obliczyliśmy już w sekcjach, ale trzeba zgrupować dane z wydziałów, działów i oddziałów. Przypuszczam, że w połowie maja...

WICEPREZES (z triumfem do prezesa): A widzi pan! Łatwo krytykować, ale trudno zrozumieć sumienną pracę naszych referentów...

REFERENT (uniżenie): Następnie proszę panów, trzeba zobrać, zaewidencjonować, skartotekować i skontrolować podopiecznych. Wymaga to drobiazgowych manipulacji, chodzi bowiem o to, aby grosz społeczny nie dostał się do niepowołanych rąk.

SCENA III.

(Początek lata. Peryferie miasta. — Mały doemk. Przed domkiem karawan.)

PREZES, WICEPREZES, SEKRETARKA I REFERENT (wysiadając z auta): Tak, to napewno tu.

GRABARZ: A państwo względem kogo?

REFERENT: Poszukujemy, mój człowieku, niejakiego Biedaka. Zaewidencjonowany, skartotekowany, tylko jeszcze nie skontrolowany.

GRBARZ: Trudno go będzie skontrolować.

PREZES (z zaciekawieniem): Dlaczego? Pewnie jakiś naciągacz?

GRABARZ: Bo ja wiem. Trzebaby zajrzeć do trumny.

WICEPREZES: Umarł?

REFERENT (osłupiały): To niemożliwe: zewidencjonowany, skartotekowany i umarł? To narusza wszelki porządek urzędowy!

SEKRETARKA: I dawać tu takim Pomoc Zimową!

PREZES (z goryczą): Ładny kwiat. Akurat woda na młyn naszej prasy, która napisze, że nie zdążamy na czas z Pomocą Zimową. Trzebaby jednak coś dla niego zrobić.

REFERENT: Protestuję. Bez wywiadu, czy był biedny?

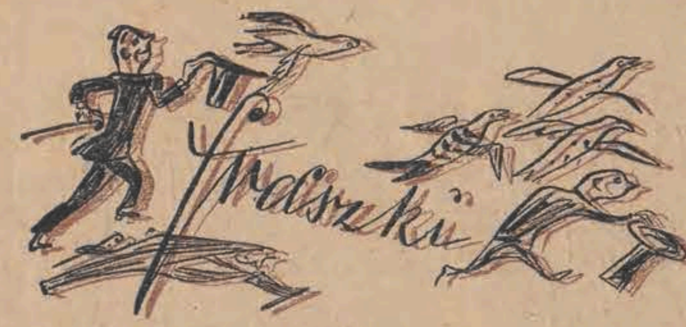
PREZES: Głupiś pan. (Do grabarza): Czy pogrzeb zapłacony?

GRABARZ: E, ktoby tam za takie go płacił?

PREZES (skwapliwie): Więc ja zapłacę.

WICEPREZES (z zadowoleniem): Więc jednak zdążyliśmy.

(Z przygotowanych do zbiorku utworów satyrycznych p. t. „Ozór po poplsku")



JAN CZARNY

DENTYSTA
Dr. J. R.

W dni powszednie wstawia zęby i korony,
w niedzielę i święta sam bywa wstawiony...

PANTOFLARZOWI

Twoja pozycja plusy ma duże,
bo od pantofli blisko do nóżek...

PRZESTROGA

Zrobi oczko panna zaraz za nią lecisz,
Uważaj to oczko — jedno z wielu w sieci...

UKOCHANEJ

Dam ci wszystko — co ci trzeba,
na pierwsze skinienie,
Szybkę z okna, gwiazdkę z nieba,
albo coś w tej cenie...

NAGROBEK OGRYZAJĄCEGO PAZNOKCIE

Od jego grobu stań o dwa łokcie,
bo ci ogryzie u nóg paznokcie...

NAGROBEK KIESZONKOWCA

Ten się po śmierci nie zmienił...
(sprawdź zawartość swych kieszeni...).

NAGROBEK WIERZĄCEGO W ŻYCIE POZAGROBOWE

W życie po śmierci wierzył,
więc chyba tu nie leży...

MARIAN PIECHAL

NA JANA CZARNEGO

Znamy dwóch Janów: Czarnego i z Czarnolasu —
Drugi trwa wieki, na pierwszego szkoda czasu.

MEGALOMAN

Wśród wielu rzadkich zalet, którymi się puszy
i tą mnie zdystansuje, że ma długie uszy.

PO WYSADZENIU W POWIETRZE NIEMIECKIEJ BAZY WOJENNEJ NA HELGOLANDZIE



Rys: Kazimierz Grus

O, mein Helgoland!

KAROL KOWALSKI

Ilustr. ADAM BIEŃKOWSKI

Bon-mot

Pan Antoni Kropkiewicz miał poważne zamiary względem panny Zosi Bączkówny. Był mile widzianym gościem w domu państwa Bączków i miał zamiar oświadczyć się w ciągu miesiąca o rączkę uroczej dzieweczki.

Ale stała się rzecz nieprzewidziana. Na horyzoncie — a dokładnie w salonie państwa Bączków — ukazał się pan Agapit Chrząstkiewicz, nieco łysawy, ale pełen temperamentu młody człowiek. Pan Chrząstkiewicz opanował serca wszystkich domowników. Jak się okazało — miał powszechnie opinię — lwa salonowego.



Dotychczas państwo Bączkowie świetnie bawili się rozmową z panem Kropkiewiczem. Obecnie próby zabrania głosu przez pana Kropkiewicza wydawały się dziwnie nieudolnym ględzeniem, wobec błyskotliwych powiedzonek i opowiadań rywala. Pan Antoni zgrzytał zębami i mizerniał z rozpaczy coraz bardziej.

Tegoż dnia przyszedł do państwa Bączków i został powitany dość ozięble. Szybko odgadł powód. Oto z salonu dolatywał głos lwa salonowego! Gdy pan Kropkiewicz wszedł do salonu, jego rywal mówił z czarującym uśmiechem:

— Jaka jest różnica między fotelem, a mrowiskiem?

— Nie wiem — rzekł Bączek z życzliwym uśmiechem.

— Pojęcia nie mam! — dorzuciła pani Bączkowa z pogodną miną.

— To niech łaskawa pani usiądzie na jednym i na drugim, to się przekona — zawołał triumfująco pan Chrząstkiewicz.

Wszyscy wybuchnęli chałaśliwym śmiechem, a najgłośniej śmiała się panna Zosia.

— Stary kawał... — mruknął ponuro pan Kropkiewicz.

Rywal szybko zwrócił się do niego.

— Stary?... To niech mi pan powie, jaka jest różnica między teściową, a trąbą?

— Co? Jak?

— Między teściową a trąbą — powtórzył rywal z szerokim uśmiechem.

Wszyscy z wyjątkiem pana Kropkiewicza, śmiali się na zapas — już z góry.

— Taka, proszę państwa, że na trąbie można grać, a na teściowej może można, ale bardzo niewygodnie.

Znów całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Panna Zofia spojrzała z lekceważeniem na pokonanego adoratora. Pan Kropkiewicz dusił się z wściekłości.

— Za pozwoleniem! — wykrztusił z pogardliwym — Jakto na teściowej można grać? Kto grał kiedy na teściowej?

— To jest taki żart — wyjaśnił z pogardliwym uśmiechem rywal — Trudno wymagać, żeby każdy dowcip naukowo uzasadniać. Kto tego nie zrozumie, ten jest chyba urodzonym tępakiem!...

— Jakto, więc ja... — zaperzył się pan Kropkiewicz.

— Dajcie spokój! — wtrącił pan Bączek — Pan Chrząstkiewicz ma rację! Nie to śmieszne, co mądre, tylko to, co wesołe!

Panna Zosia znowu spojrzała z pogardą na pana Antosia.

— Może napijemy się wódeczki pod sardynkę? — zaproponował pan Bączek, zacierając tłuste ręce.

— Z ochotą! — zgodził się triumfator.

Pan Kropkiewicz pomyślał:

— Gdybym tu był sam, toby nigdy nie przyszło im do głowy częstować wódką... I jeszcze fundować sardynki! A dla takiego bęcwała — wszystko, psiakrew!

Przy wódeczce szczęśliwy rywal zapytał wesoło:

— A jaka jest różnica między mną i sardynką?

Pan Bączek zrobił wybitnie zdziwioną minę.

— Też pan wymyślił! Ha, ha, pan ma kapitalne pomysły!...

— No? Kto zgadnie?

Nikt nie próbował nawet odgadnąć.

Wtedy pan Chrząstkiewicz zawołał:

— Taka, że sardynka nigdy nie ma głowy, a ja tracę głowę tylko wtedy kiedy patrzę na pannę Zofię!...

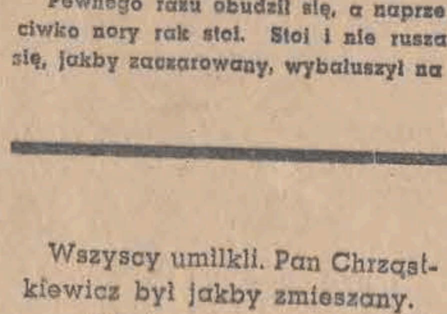
I szarmancko skłonił się zarumienionej panience.

Tego było jednak dość panu Kropkiewiczowi. Wyprostował się, jakby nagle kij połknął, i powiedział gośno:

— Dobrze. A teraz niech mi pan powie panie Chrząstkiwicz, jaka jest różnica między ciasną marynarką, a panem?

Wszyscy umilkli. Pan Chrząstkiewicz był jakby zmieszany.

— Między ciasną marynarką,



a mną? — zapytał.

— Tak jest!

— Hm... nie wiem doprawdy!

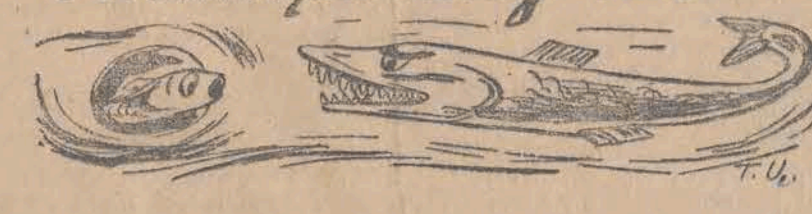
— To ja panu powiem: ciasna marynarka pije pod pachami tylko wtedy, kiedy ją się nosi, a pan a pan pije od rana do wieczora!

Pan Bączek pierwszy zaczął się śmiać rechotliwie. Potem małżonka i panna Zosia. Rywal po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie. Pan Kropkiewicz odzyskał serduszko ukochanej! Ślub za trzy tygodnie..

Tak to, moi mili, jedno „bon mot" może uratować szczęście człowieka!

SAŁTYKOW-SZCZEDRYN

Przemądrzały kiełb



Pewnego razu żył sobie kiełb. Rodziców miał mądrych do sędziwej starości dożyli i jakoś nie dostali się szczupakowi do pyska. Synowi też przykazywali:

— Pamiętaj synku — mówili umierając — jeśli chcesz żyć, uważaj pilnie

A młody kiełb miał umysł głęboki, zastanawiać się zaczął i widzi, gdzie nie obejrzy się wszędzie klapa. Po wodzie same ryby pływają, a on najmniejszy. Każda rybka może go połknąć, a on żadną. Nawet nie pojmuje, poco połykać? Rak może go kleszczami napół przeciąć, wodna pchła w grzbiet się wpije i na śmierć zameczy. Nawet brat kiełb, gdy dojrzy tylko, że on komara złapał, natychmiast całym stadem odbierać się rzuca. Odbiorą i zaczną wzajemnie się okładać, napróżno tylko komara na strzępy porwą: A człowiek, podstępne stworzenie, czegoż nie wymyśli, żeby kiełbia życia pozbawić?

Zastanawia się, kombinuje i wykombinował najpierw norę, żeby sam w nią wleźć mógł, innemu zaś wara. Potem postanowił nocą, kiedy ludzie, zwierzęta, ptaki i ryby śpią na spacer będzie sobie chodził, a w dzień w norze siedział będzie i drżał. A że jeść i pić jakoś trzeba, a sam pensji nie otrzymuje i służby nie trzyma, wybiegnie w południe, kiedy ryby najedzone już są, może z boską pomocą upoluje jakiegoś robaczka. A jak nie głodny do nory schowa się i znowu drżał będzie: może lepiej nie jeść i nie pić, niżeli sytym żołądkiem życie utracić. Leży tak więc, nocą nie dośpi, kęsa nie doje i myśli wciąż: żyję jeszcze, a co jutro będzie?

Czasem, grzeszny, zaśnie i śni mu się, że posiada los na loterję, na który wygrał dwieście tysięcy. Z zachwytu na drugi bok się przewraca, a tu pół pyszczka z nory mu się wysunęło. A co, gdyby tak szczupak znalazł się w pobliżu Natychmiast by go z nory wyciągnął.

Pewnego razu obudził się, a naprzeciwko nory rak stoi. Stoi i nie rusza się, jakby zaczarowany, wybałuszył na niego kościste oczy i tylko wąsy mu się z prądem wody kołyszą. Najadł się wówczas kiełb strachu. A zdarzyło się z nim tak nie raz nie dwa, a żeby prawdę rzec codzień. I codzień drżąc, odnosił zwycięstwa i codzień mawiał: dzięki ci, Boże, że dotąd jeszcze żyję. Ale nie dość na tym. Nie ożenił się, dzieci nie miał, chociaż ojciec miał wielką rodzinę. Rozumował bowiem tak: Ojciec mógł z łatwością przeżyć. Wtedy szczupak lepszy był, a okoń na nas, na drobiazg nie patrzył nawet.

W ten sposób przeżył mądry kiełb przeszło sto lat. Wciąż drżał, wciąż drżał. Bez przyjaciół, bez krewnych. W karty nie gra, wina nie pije, tytoniu nie pali, za dziewczynkami nie ugania się, tylko wciąż o jednym myśli:

— Dzięki ci, Boże, zdaje się, że żyję jeszcze!

Nawet szczupaki zaczęły go później wychwalać:

— Gdyby wszyscy tak żyli spokój byłby w rzece.

Mówiły tak, rzecz jasna, naumyślnie, myślały, bowiem, że złapie się na pochwały a wtedy go capniemy: Ale kiełb nawet ten podstęp przejrzał i jeszcze raz mądrością swoją zwyciężył wrogów:

Ile znowu lat minęło, nim wreszcie przemądrzały kiełb śmierć poczuł nie wiadomo: Leży na śmiertelnym łożu i cieszy się:

— Dzięki ci Boże, że własną śmiercią umieram:

Ale coś mu nagle podszepnęło:

— Przecież w ten sposób cały kiełbi ród zginie: Przecież rodzina być musi, a poto, by wszyscy rozwijać się mogli i stawać się pożytecznymi obywatelami, nie mogą w ciemnych norach kryć się, obłąkani ze strachu: Nie, to nie są obywatele a co najmniej niepotrzebne kiełbie: Żyją bez sławy i szczęścia, daremnie tylko innym miejsca zajmują. Ale jak tylko uświadomił sobie to wszystko, znów się przeraził i drżeć zaczął. Gdy żył — drżał, umierając — drżał.

Opracował Jasp

ALFRED LUTWAK

Uczciwy człowiek

Ilustr Tadeusz Ulatowski

On: Wyobraź sobie, Helu...

Ona: (przerywa) Pewnieś znowu zgubił rękawiczki lub coś podobnego...

On: (triumfując) Nie, właśnie, że nie! Wiem, że mnie uważasz za niedołęgę którego prześladuje ciągły pech....

Ona: Co za wylew elokwencji! Gadaj lepiej, co się stało!

On: (zapalając się) A więc posłuchaj: idę sobie ulicą, słońce świeci najspokojniej, tramwaje dzwonią jak zwykle...

Ona: Zabijasz mnie gadulstwem! Kończ!

On: ...Aha! więc idę ulicą, słońce świeci najspokojniej... Wchodzę do biura ogłoszeń po gazetę. Płacę monetą pięcioszylingową. Wychodzę i nagle spostrzegam, że wydano mi reszty 9 szylingów, 25 pensów. Uważano widocznie że dałem 10 szylingów. Co ty na to? Transakcja, co? Mam satysfakcję, że przynajmniej raz mi się udało. Przynajmniej raz wydano mi więcej, a nie jak zawsze mniej. Nie masz pojęcia, jakie to przyjemne!



Ona: (milczy)

On: Co? Nie robi to na tobie żadnego wrażenia, że to nie ja wpadłem — że los szczęście, fatum odwróciło się, że mojemu przysłowionemu pechowi zadałem kłam? Nie sprawia ci to żadnej przyjemności?

Ona: (z ironią) Przyjemności!? Przyjemności! Że mój mąż jest przestępcą!

On: Jakto... przestępcą?

Ona: On się jeszcze pyta! Co za łotrostwo, co za podłość! Zamiast odnieść pieniądze przeprosić, ty przychodzisz z nimi do domu i rozkoszujesz się tym cynicznie. I taki człowiek jest moim mężem!

On: Twój tragizm jest całkiem niezrozumiały...

Ona: O, Boże, co za cynik! Biedna kasjerka musi wieczorem oddać kasę, obliczyć się, rozumiesz! A gdy coś brakuje, to musi dołożyć z własnej kieszeni. I tyś właśnie okradł ją, najniewinniejszą istotę! Czy ty wiesz, co to jest pięć szylingów? To jest 100 bułek... Taka biedna dziewczyna odmawia sobie od ust, mieszka gdzieś na czwartym piętrze, utrzymując chorą matkę, małe rodzeństwo, a ten ją okradł!... Gdyby wszyscy byli tacy jak ty, nie zaszedłby taki wypadek, jak wtedy z twoim parasolem, który obcy, najzupełniej obcy człowiek sam odniósł...

On: Bo dałaś ogłoszenie do gazety, że kto go odniesie, otrzyma nagrodę 30 szylingów. Ten, który odnieśli, jest, zdaje się, w ogóle nie mój....

Ona: Milcz! Kłamiesz jak zawodowy zbrodniarz!!....

On: (skruszony) Tym niemniej.... o ile twierdzisz, że była to dziesiątka... Idę... pomimo deszczu....

II.

(W biurze ogłoszeń)

On: Dzień dobry...

Kasjerka: (mrukliwie) Dzień dobry.
(w sklepie pełno kupujących, którzy żądają jakieś gazety, płacą, wychodzą).

On: (Czeka dłuższy czas, wreszcie przerywa uprzejmnie) Przepraszam panią, bardzo ale...

Kasjerka: (opryskliwie) Zaraz. Tu wszyscy po kolei. Nie ma teraz żadnych hrabiów. Dla mnie każdy jednakowy — minister, czy robotnik..

(kilka osób potakuje z uznaniem)

On: Przepraszam, lecz tu chodzi o kwestię...

Kasjerka: Proszę nie przeszkadzać!

On: Kwestię natury osobistej, dotyczącej pani prywatnie...

Kasjerka: Impertynent! Jeśli pan nie przestanie zawezwę policjanta!

On: (pokornie) Najmocniej przepraszam... Muszę pomówić z panią w ważnej naprawdę sprawie....

Kasjerka: To należy czekać, aż będzie czas.
(Mija dłuższy czas. Interesanci wychodzą).

Kasjerka: Czegóż więc pan chce?

On: Jak to pani powiedzieć? Zaszła pomyłka i to na pani szkodę. Wydała mi pani za dużo. Spostrzegłem pomyłkę w domu i jako człowiek uczciwy i nieposzlakowany przychodzę oddać pani należne pieniądze.

Kasjerka: To się bardzo chwali. A ile wydałam za dużo?

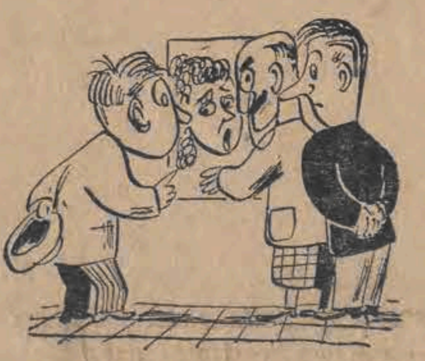
On: Pani łaskawie obliczy kasę, a o ile by coś brakowało.... Nie mam bowiem pewności, czy dałem pani pięcioszylingówkę, czy też dziesięć szylingów. O ile będzie brakowało, dopłacę.

Kasjerka: (do posługaczki) Zamknij drzwi od ulicy, aby nikt nie wchodził. Muszę zliczyć kasę.

Liczenie trwa

Kasjerka: Należy się 26 szylingów i 57 pensów.

On: (przerażony) Ależ... to niemożliwe... jakto... to wykluczone...



Kasjerka: (twardo) Należy się 26 szylingów i 57 pensów.

On: Ależ to niemożliwe, łaskawa pani. Różnica maksymalna może wynosić 5 szylingów — i więcej nie zapłacę.

Kasjerka: Może pan sprawdzić: brakuje w kasie.

On: Ależ... ja tyle nie zapłacę!

Kasjerka: Jakto! Pan nie chce zwrócić przez pomyłkę zabranych pieniędzy? I śmie pan jeszcze nazywać siebie uczciwym człowiekiem! Proszę w tej chwili oddać pieniądze, bo zawezwę policjanta....

On: Ależ...

Kasjerka: (do posługaczki) Pobiegnijno na róg i sprowadź posterunkowego.

On: Nie dość, że sam przyszedłem...

Kasjerka: Milcz pan!

(Wchodzi policjant)

Kasjerka: Przez pomyłkę wydałam temu panu 26 szylingów i 57 pensów. Ten pan zresztą sam to przyznaje..



On: Panie posterunkowy, ja więcej niż 5 szylingów nie zapłacę, bo...

Policjant: (autoratywnie) O ile pani policzyła kasę i sprawdziła, to właśnie tyle brakuje. A ponieważ przyznaje się pan sam, więc wzywam pana do zapłacenia brakującej sumy, w przeciwnym razie będę zmuszony doprowadzić pana do komisariatu.

On: (robi wielce głupią minę lecz płaci).

III.

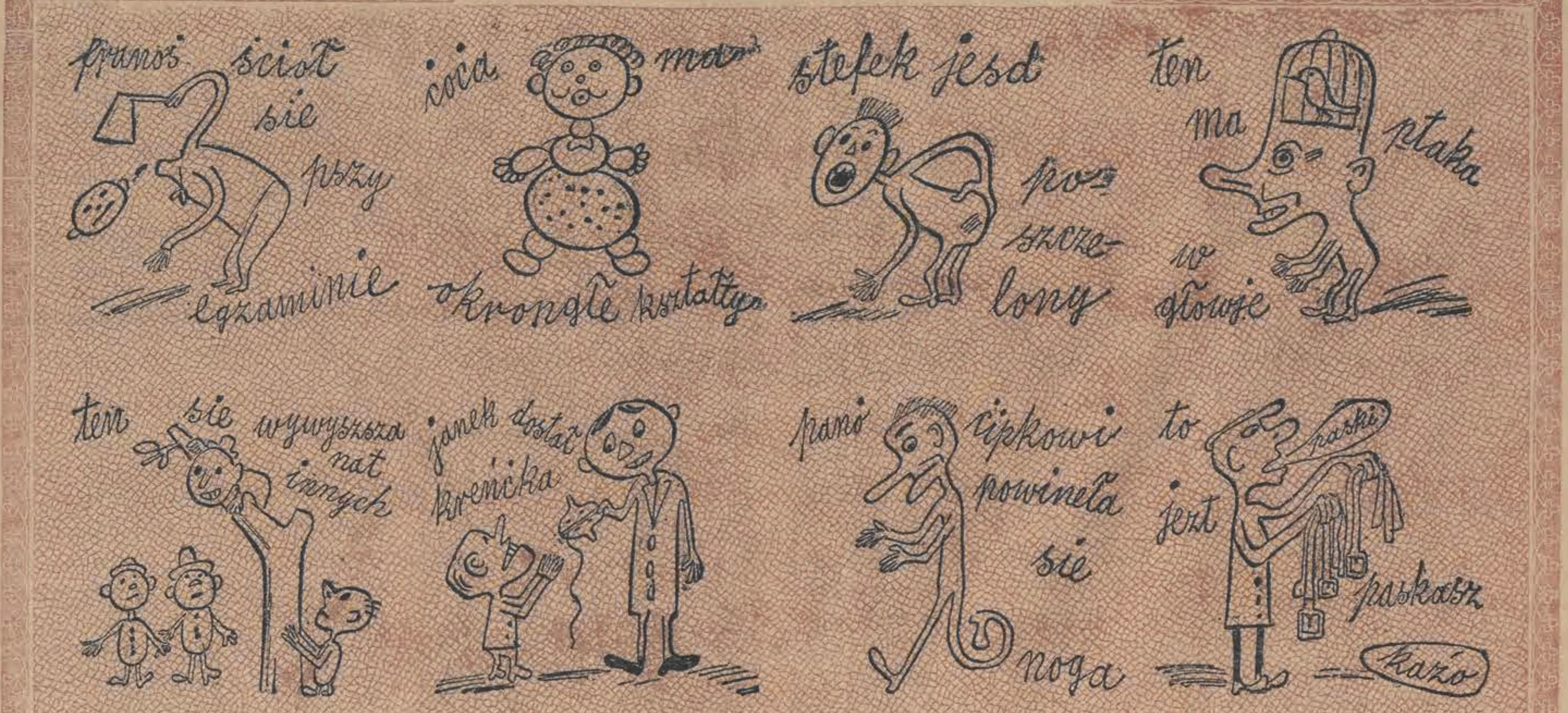
(On wchodzi do domu i siada milcząco)

Ona: (złośliwie) Widzę, że sprawia ci trudność być uczciwym człowiekiem.

On: (milczy, grzebie bezmyślnie w kieszeni i wyciąga monetę pięcioszylingową) O! Papatrz: pięć! Dałem więc jednak w sklepie dziesiątkę!

Ona: (urągając) I, oczywiście, dopłaciłeś?! — Niedołęgo! Fujaro! I to chce grać rolę uczciwego człowieka...

Z zeszytu małego Kazia



Rys. Kazimierz Grus

„Rózgi" ukazują się co tydzień. REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 212-57.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D - 015151